CZWARTEK
Nr 147 18 XII 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

O DZIESIĘCIOLATCE BEZ ŻALU

167 miliardów złotych to ogromna suma pieniędzy. Tyle trzeba by wydać w ciągu najbliższych dziesięciu lat, aby zrealizować reformę oświatową. Tę samą reformę, która dotarła już do trzecich klas szkół podstawowych i obejmuje trzy roczniki dzieci urodzonych w latach 1971–73. Dziś, gdy do 10-letniej powszechnej szkoły średniej zdążyliśmy się już niemal wszyscy przyzwyczaić, wspomniane 167 mld zł przekreśla szanse wykonania reformy. Społeczeństwa naszego nie stać bowiem na wypracowanie tych pieniędzy i przekazanie ich – w aktualnej sytuacji gospodarczej kraju – na potrzeby oświaty.

Fot. **J. Łopuszyński**

CIĄG DALSZY NA STR. 3



Czy warto być społecznikiem?

MOŻE I TY BĘDZIESZ W POTRZEBIE

W artykule „Czy warto być społecznikiem", temat jest poruszony ogólnie i jednokierunkowo. Bo jest bardzo wiele form bezinteresownej pomocy innym: pomoc przy przeprowadzaniu niewidomych czy starszych osób przez ulicę; ustępowanie miejsca innym w autobusie czy tramwaju; pomoc starszym, chorym czy inwalidom przy pracach domowych... Powiecie, że są to małe sprawy, ale czy nie przez nie należy uczyć pięknej idei jaką jest społecznictwo? Ot, choćby „Niewidzialna ręka" bezimienny sposób pomocy innym, przeważnie starszym osobom.

Dla osób dorosłych istnieją jeszcze większe możliwości: pomoc i opieka nad innymi w ramach PCK, WOPR, GOPR. Członkowie tych klubów walczą o życie innych wszędzie, na wodzie, i bardzo wysoko w górach czy jaskiniach, a także w życiu codziennym jeśli są potrzebni.

Jedną z najszlachetniejszych form pomocy to honorowe dawstwo krwi. Ludzie, którzy są honorowymi dawcami krwi są nieocenieni w niesieniu ratunku chorym. Bardzo często po wypadku, gdzie o życiu poszkodowanego decydują sekundy, błyskawiczne działanie, bo w chwilę później może być już za późno... Mogę być z tego bardzo dumny, iż należę do grupy ludzi, którzy niosą innym Życie. Oddając krew wiem, że się nie zmarnuje, bo ten „Dar życia" to lek, którego nie można zastąpić innymi lekarstwami...

I nikt się nie śmieje z tego, choć czasem ze zdziwieniem pytają: po co? na co? Wtedy przestrzegam ich, że może i oni kiedyś będą w potrzebie.

Willi Szmidt
Mrągowo

Car – kołokoł pod lupą

ZSRR (PAP). Naukowcy radzieccy są bardzo zmartwieni: na powierzchni słynnego car-kołokoła – dumy rosyjskich mistrzów ludwisarstwa XVIII w. – pojawiły się liczne rysy i pęknięcia. Po zdjęciu kilku warstw farby i lakieru na korpusie 200-tonowego dzwonu ukazało się aż 11 rys. Prawdopodobnie powstały one już podczas odlewania. Dokonując pomiarów głębokości i długości szczelin, uczeni uznali, że nie są one chwilowo groźne dla kolosa. Ale czy z upływem czasu nie będą się powiększać? Odpowiedź na to pytanie dadzą precyzyjne czujniki, które przez rok rejestrować będą najdrobniejsze zmiany w strukturze dzwonu.

Restauratorzy przywrócili już poprzedni stan ornamentyki dzwonu, jego płaskorzeźby i napisy. Podczas badań dokumentów archiwalnych po raz pierwszy udało się ustalić nazwisko twórcy ornamentyki dzwonu. Był nim rosyjski rzeźbiarz – Fiodor Miedwiediew. [illegible] byli [illegible] o sławnym car-kołokole. Przede wszystkim okazało się, że oprócz miedzi i ołowiu użyto do jego odlewu kilka kilogramów srebra i złota, aby uzyskać lepszą jakość dźwięku. Ale dzwon nigdy nie zadzwonił... Obecnie stoi on w pobliżu dzwonnicy „Iwan Wielki". **(kl)**

TENISOWE objawienie roku



Nasi południowi sąsiedzi mają szczęście do dobrych tenisistów. Jeszcze nie tak dawno doskonale spisywał się na kortach całego świata słynny Jan Kodesz. Bodajże większą furorę zrobiła Martina Navratilova. Obecnie Czechosłowacy mają również powody do radości. Oto Ivan Lendl (na zdjęciu) gromi w międzynarodowych turniejach kogo chce. Niedawno, w Bazylei, pokonał samego Bjoerna Borga (Szwecja), a następnie wygrał w Tokio Grand Prix Japonii. Popularny „Ivanek", tenisowe objawienie bieżącego roku, ma dopiero 23 lata, a więc całą karierę przed sobą. Specjaliści twierdzą, że Lendl już wkrótce zdystansuje wszystkie aktualne tenisowe gwiazdy. Już dziś znajduje się na wysokiej pozycji w tabeli klasyfikacyjnej Grand Prix. **(zp)**

Fot. **CAF**

POMYSŁ DO NAŚLADOWANIA!

Wieczory przy świecach

Na jednej z lekcji języka polskiego nauczycielka powiedziała, że w naszej szkole co miesiąc będą się odbywać wieczory przy świecach poświęcone pamięci poetów polskich. Za dwa tygodnie odbędzie się pierwszy wieczór poświęcony pamięci Jana Kochanowskiego. Chętnych do recytacji z klas VII i VIII było wielu, ponad czterdziestu. Oceniać ich miało specjalne jury. Przyszłam na wieczornicę. W charakterze widza – gościa. Z przyjemnością słuchałam pięknej interpretacji utworów. Jeżeli ktoś zapomniał tekstu, to mógł zajrzeć do kartki. Takich było niewielu. Paweł recytował ostatni. Był wspaniały. Jury po naradzie ogłasza uroczyście werdykt. Jest jedno pierwsze miejsce, trzy drugie i dwa trzecie. Reszta zajmuje czwarte, zbiorowe miejsce. Najlepszą okazała się nasza szkolna recytatorka Ela. Wierzcie mi, byłam, widziałam i opisałam. Spróbujcie urządzić takie wieczory.

Agnieszka Godyń
woj. krakowskie

PS. Następne spotkanie będzie poświęcone Mickiewiczowi.

Być uczniem „JEDYNKI" – to prawdziwy zaszczyt

Drugiego września 1945 roku rozpoczęły się lekcje w pierwszej Szkole Podstawowej w Szczecinie, przy ul. Piastów 4. Zaczynało je zaledwie 36 uczniów. Od tego czasu placówkę ukończyło 3620 absolwentów. Historia szkoły i jej osiągnięcia są bogate. W kronice szkoły odnotowano: w 1947 r. powstała pierwsza Szkolna Kasa Oszczędności, w 1961 r. nadano imię szkole i odsłonięto popiersie Bolesława Chrobrego; w 1965 r. szkoła otrzymała sztandar, w rok później odznaczono ją odznaką „1000-lecia Państwa Polskiego", w 1973 r. odznaką „Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej" i medalem. 200 rocznicy Komisji Edukacji Narodowej, ostatnio medalem „Gryf Pomorski".

Uczniowie „Jedynki" znani są z licznego udziału w olimpiadach oraz konkursach fizycznym i chemicznym, w których zbierają wiele laurów. **(„Głos Szczeciński")**

ZIEMIA „ZARAŻONA" odpowiednimi bakteriami DAJE WIĘKSZY PLON

ZSRR – USA (PAP). Uczeni z Uniwersytetu Berkeley w Kalifornii, specjalizujący się w naukach rolniczych, doszli do wniosku, że zbiory niektórych upraw można znacznie podnieść przez wprowadzenie do gleby niektórych bakterii. Wcześniej uczeni radzieccy stwierdzili, że przez wprowadzenie do gleby bakterii osadzających się na korzeniach roślin, można uzyskać podniesienie plonów o 50–70 proc. **(tok)**

Zabawa czy lekkomyślność? Zależy czy te saneczkowe ewolucje odbywają się w bezpiecznym miejscu, czy też ta górka prowadzi prosto na ulicę, pod koła samochodów...

Fot. **CAF**



Gdyby ode mnie zależało



Dlaczego jedni niszczą to, co mogłoby służyć drugim?

Zmieniłabym w swojej miejscowości bardzo dużo. Mieszkam we wsi Markowskie w województwie suwalskim. Wieś jest mała, ale można dużo zmienić.

Kilka lat temu we wsi wybudowano nowy sklep spożywczy i mleczarnię. Dawniej i sklep, i mleczarnia mieściły się w jednym budynku. Teraz ten budynek stoi pusty. Ktoś zainteresował się tym, ale na krótko. Obiecano, że czynem społecznym będzie wybudowany klub młodzieżowy. Niestety, do tej pory cały budynek stoi i niszczeje. Okna są powybijane, sufit już odpada. Na starszą młodzież nie mamy co liczyć, bo jest jej mało, ale my, uczniowie klas VII i VIII, a także i rodzice, możemy coś pomóc. Jestem zastępową drużyny harcerskiej i my chcielibyśmy czynem społecznym uporządkować piwnicę sklepu i mleczarni, właśnie w tym budynku. Byłyśmy z koleżanką w tej piwnicy i co zobaczyłyśmy: śmieci i butelki. Ogarnęło nas przerażenie, że jedni tak mogą niszczyć to, co mogłoby się przydać innym. Bardzo lubię pracować społecznie i gdyby zapadła decyzja, że mamy remontować ten budynek dla siebie – stałabym w pierwszym szeregu.

Drugą sprawę, którą chcę poruszyć, to nasz zabytek – wiatrak. Nikt nie zajmuje się nim, a można go jeszcze odremontować i stałby o wiele dłużej niż [illegible] jak jest. W godle naszej gminy znaj- [illegible] nimi nie chce się zająć. Bardzo dawno już nad tym się zastanawiałam, żeby komuś to powiedzieć i właśnie teraz mam okazję. Dyskutowałyśmy na ten temat z koleżankami, ale co my możemy zrobić, czy ktoś będzie chciał nas słuchać?

„Aloj" (13 l.)

Demokracja w szkole

Modne są dziś słowa: demokracja i równość, obserwujemy też aktywną walkę o to, aby te słowa nie były pustym frazesem, ale – jak mówi poeta – aby „ręce przez usta wyrastały". Często te słowa są nadużywane, a chodzi przecież, by równość i demokracja znalazły na trwałe swoje miejsce w życiu. Niestety, ta sama demokracja, o którą toczy się dziś w Polsce batalia, w szkole podstawowej czy średniej jest dość dokładnie wybijana z głów. A możliwość trwałej egzystencji równości w stosunkach nauczyciel – uczeń i na odwrót, istnieje. Znane są jednak grupy lub jednostki uprzywilejowanych ponad miarę. Prawie każdy nauczyciel ma swoich uczniów pupilków i takich, których nie cierpi, choćby za ich szczerość, zaangażowanie. Ci pierwsi otrzymują lepsze oceny, wolno im zabierać głos w wielu sprawach, ci drudzy choć pozornie mają to samo prawo, to jednak muszą siedzieć spokojnie, pokornie znosić różne złośliwości nauczyciela, jeśli chcą bez większego szwanku dotrzeć do końca roku szkolnego. Czują się jednak gorsi od reszty klasy.

Albo, co można sądzić na przykład o tym, że są wśród grona nauczycielskiego tacy, którzy mają tzw. chody u dyrektora lub w kuratorium i mogą sobie „bimbać" z reszty nauczycieli? Mogą mieć takie zajęcia, jakie chcą, takie długie urlopy zdrowotne, jakich zapragną. Przed ich opinią drżą pozostali nauczyciele, jak szaraki przycupnięte po kątach szkoły.

Są też w klasie uczniowie nietykalni, którzy wszystkich wokół mają za durniów, rodziców na wysokich stanowiskach, albo zasobnych w „ciężką" forsę, którzy potrafią wszystko załatwić. Daje to ich dzieciom poczucie bezkarności, wyzwala poczucie pogardy dla tej „gorszej" części klasy. To boli najbardziej, ale nie ma siły, aby to zmienić, uczniowie zapatrują się dość pesymistycznie na te układy. Szkoła przygotowuje młodych obywateli, młodzi naśladują życie, dążenia środowiska, kształtują swoją osobowość.

Czy ten świat dzieci i młodzieży ma być tak brudny jak świat dorosłych?

Stanisław

Jak przekonać nauczycieli, że i my mamy swoje kłopoty i nie zawsze chęć do śmiechu?

Gdyby ode mnie zależało to wprowadziłabym jeden punkt do Kodeksu Ucznia: „Nauczycielowi nie wolno traktować ucznia jako gorszego człowieka". Dziwi Was zapewne, dlaczego to piszę, bo przecież tyle się pisze i mówi o nauczycielach, jako ludziach dobrych, wyrozumiałych, o zaufaniu, jakim darzeni są uczniowie przez nauczycieli. Lecz, niestety, nie wszędzie tak jest. Np. w naszej szkole uczniowie są wyzywani, obgadywani przez nauczycieli i w ogóle traktowani jako coś gorszego. Nauczycielowi wolno miewać swoje „humory" i zależnie od nich stawiać stopnie, a uczeń nie może mieć o to pretensji. I choćby zgłosił się nawet do dyrektora, to dostałby odpowiedź „pani na pewno miała rację". Uczniowi nie wolno być smutnym, bo nauczyciele zaraz kpią i, aby ucznia „rozweselić" biorą go do odpowiedzi, i najczęściej stawiają 2, bo uczeń jest zdenerwowany, nie może zebrać myśli i nieraz mówi głupoty. Czasami też nauczycielki docinają uczniom, mówiąc, „co ty możesz mieć za kłopoty, ja to dopiero je mam! Przecież masz wszystko, o nic się nie troszczysz i jeszcze ci źle?" A przecież my nie różnimy się od nauczycieli niczym, oprócz wieku. Tak samo jesteśmy ludźmi, tak samo myślimy i czujemy jak oni, i czasem mamy swoje kłopoty, które nie zawsze są błahe, a nauczyciele albo nie mogą, albo nie chcą tego zrozumieć. Często też mamy po dwie i więcej klasówki dziennie. Nie, nie sprawdziany z paru lekcji, ale właśnie klasówki z materiału przerobionego od początku roku. Gdy nauczycielce powie się: „proszę pani, my już mieliśmy dzisiaj klasówkę", to pani odpowiada „to mnie nie obchodzi, wiedzieliście, że dzisiaj jest klasówka i na pewno jesteście przygotowani".

Owszem my przygotowani jesteśmy, ale jesteśmy zmęczeni po poprzedniej klasówce oraz po poprzednich lekcjach (których nie mamy po 5–6, ale 8–9). A przecież w Kodeksie Ucznia jest napisane: „Uczeń ma prawo znać co najmniej z tygodniowym wyprzedzeniem termin pisemnego sprawdzianu wiadomości w klasie – sprawdzian taki może być tylko JEDEN w ciągu dnia". Lecz niestety, w naszej szkole tak nie jest. Gdybym chciała wyczerpać mój temat, musiałabym zapisać wiele stron o sprawach, w których głos ucznia nie jest brany pod uwagę. Więc tylko bardzo proszę: NAUCZYCIELE! NIE TRAKTUJCIE NAS JAK GORSZYCH OD SIEBIE! POŚWIĘĆCIE NAM CHOCIAŻ PARĘ MINUT NA SZCZERĄ ROZMOWĘ, A ZROZUMIECIE, ŻE DZISIEJSZEJ MŁODZIEŻY NIEŁATWO ZAWSZE BYĆ WESOŁĄ I UŚMIECHNIĘTĄ!

„Anita"



ZNAKOMITY POMYSŁ!

CAF. Pojazd, który widzicie na zdjęciu, skonstruowali uczniowie technikum mechanicznego w miejscowości Bad Liebenstein (NRD) z myślą o przedszkolakach. Już wyobrażamy sobie, jak to przyjemnie, gdy na przydługim spacerze można dać wytchnąć znużonym, bo małym przecież nóżkom, nie rezygnując jednak z poznawania jakże ciekawego świata... **(kl)**

APEL uczniów zielonogórskich szkół

Jak informuje Gazeta Lubuska, Rada Samorządu ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Zielonej Górze zainicjowała akcję zbierania dobrowolnych datków pieniężnych dla dzieci – ofiar trzęsienia ziemi we Włoszech. Pieniądze zostały przekazane na konto PCK.

Za pośrednictwem w/w gazety uczniowie szkoły apelują do wszystkich kolegów i koleżanek o przyłączenie się do tej szlachetnej akcji.

MELDUNEK Z JASŁA

Meldujemy, że harcerze ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Jaśle przekazali na konto budowy Centrum Zdrowia Dziecka kwotę 400 zł. Pieniądze te uzyskaliśmy ze zbiórki makulatury. **(mi)**

Za Radę Drużyny
przyboczna – Jolanta Sobkowicz

Jarek i Andrzejek WOŁAJĄ JEŚĆ, a rodzice są w sklepie...

Oprócz obowiązków szkolnych mam również obowiązki w domu. Jestem najstarszy. Dwaj moi bracia mają 6 i 3 lata. Starszy, Jarek chodzi do klasy zerowej. Rano zawsze muszę go przygotować do szkoły, a młodszego ubrać. Dobrze, że Jarek chodzi na drugą zmianę, dzięki temu możemy się wyręczać w pilnowaniu najmłodszego, Andrzejka.

Mama i tata ciężko pracują. Nasza mama sprzedaje w sklepie, jest sama za ladą i do domu wraca dopiero wieczorem. Nasz tata jest kierowcą i po pracy pomaga mamie w sklepie, tak że przez cały dzień w domu jesteśmy sami i prawie wszystkie zajęcia spadają na mnie. Muszę posprzątać i nakarmić młodszych braci. Dlatego już kończę, bo Jarek i Andrzejek wołają jeść, a rodzice w sklepie.

Czesław Gruszczyński
Strzelce Krajeńskie

Oszczędzajmy lasy!

SPOSÓB PROSTY, ALE SKUTECZNY

Nasz list jest prośbą skierowaną do wszystkich dzieci ze szkół podstawowych czytających gazetę „Świat Młodych". Od początku roku szkolnego prowadzimy zbiórkę makulatury w trochę inny sposób. Ustawiamy karton obok kosza i gdy mamy jakieś papierki, to zamiast do kosza, wrzucamy je do kartonu. Gdy karton jest napełniony, sprzedajemy go. Za pieniądze zdobyte w ten sposób urządzamy uroczystości klasowe i szkolne. Uzbieraliśmy już 320 kg makulatury. Na rzecz samorządu szkolnego 120 kg, a dla naszej klasy 200 kg. Apelujemy, aby wszystkie dzieci robiły tak samo. W ten sposób zaoszczędzimy wiele lasów.

Samorząd klasy IV b
ze Zbiorczej Szkoły Gminnej
w Zalewie



Jestem mały, ale zimy się nie boję. Pozdrawiam Was z mojego rodzinnego miasta – Ułan Bator

Fot. CAF

REDAKCYJNA POCZTA

DZISIAJ DRUKUJEMY WYPOWIEDŹ MAŁGOŚKI NA TEMAT 3 LISTÓW ZAMIESZCZONYCH W „REDAKCYJNEJ POCZCIE" (131 NR „ŚM")

Z listu Gośki pt. „Wstydzę się za moją klasę" wynika, że chciałaby coś zmienić, ale nie wie jak. Ja proponuję rozmowę całej klasy na lekcji wychowawczej lub po lekcjach, podczas której każdy wypowiedziałby się jak ocenia stosunki koleżeńskie. Jestem przekonana, że będzie wielu takich, którzy podobnie jak Gośka wstydzą się za klasę. A może w klasie Gośki należałoby zmienić samorząd? Mojej klasie taka zmiana samorządu bardzo dobrze zrobiła.

Drugim listem w tej „Poczcie" jest wypowiedź Tadka żalącego się na lekcje w-fu i sposób wystawiania stopni z tego przedmiotu. Tadek pyta czy w innych szkołach jest tak samo. Wydaje mi się, że nie. Na przykład w naszej szkole oprócz gry w piłkę ręczną, biegów, skoków chłopcy i dziewczęta grają zimą w hokeja, latem w piłkę nożną, siatkówkę, koszykówkę. Ustalamy razem z nauczycielem, co będziemy robić na następnej lekcji. Druga sprawa, to stopnie. Wydaje mi się, że nauczyciel nie powinien zadawać takich ćwiczeń, które sprawiają uczniom trudności i stawiać za nie stopnie. Uważam, że klasa Tadka powinna tę sprawę załatwić z nauczycielem, dyrektorem czy wychowawcą!

Ostatnim listem zamieszczonym w „RP" jestem zadziwiona! Nie wiem dlaczego Agata powiedziała, że Jolka także ściągała. Oburzyła mnie reakcja klasy. Gdyby u nas wydarzyło się coś takiego, to po prostu „zakrzyczelibyśmy" panią. Nie pozwolilibyśmy tych dwój tak szybko wstawić. Gdy u nas ktoś ściągnie i dostanie ocenę pozytywną, a nauczyciel pozna, że praca nie była pisana samodzielnie, nie stawia dwójki. Zapowiada natomiast ściągającemu, że odpyta go na następnej lekcji z materiału klasówkowego. Mobilizuje to danego ucznia do sumiennego „wykucia" choć jednego tematu.

Małgośka

Krzysztof Gruby: ul. Kcyńska 34B, 89-200 Szubin, szuka korespondencyjnych przyjaciół. Interesuje się piłką nożną, pływaniem, tenisem stołowym. Lubi książki przygodowe i fantastyczno-naukowe. Chodzi do I kl. szkoły zawodowej.

„Kartkówka"

W tym roku szkolnym przybyło do naszej klasy pięciu nowych chłopców. No i zaczęło się. Klasa pod wpływem ich namów (jeśli ktoś się przeciwstawiał, używali nawet siły) uciekła z lekcji. W konsekwencji wszyscy mamy zanotowaną nieobecność w dzienniku.

Na Dzień Chłopca postanowiłyśmy złożyć się po 20 zł. Gdy zebrałyśmy 300 zł, pieniądze zginęły. Przedtem nigdy to się nie zdarzało. Zgłosiliśmy to wychowawczyni. Pani wpadła na niezwykły pomysł. Mieliśmy na kartkach napisać kogo podejrzewamy. Po obliczeniu okazało się, że prawie wszystkie głosy padły na nowych.

„Nieznana"

OD REDAKCJI: Pani nie powinna robić tej „kartkówki". Przecież nie uzyskała dzięki niej żadnych dowodów winy, a bez dowodów nikogo oskarżać nie wolno. Jeśli przedtem nie zdarzały się w klasie kradzieże, to najprościej jest zwalić na nowych. Tak też wynikło z waszej „kartkówki". Ale czy słusznie? Ucieczka z lekcji jest przewinieniem jednak nie może stanowić podstawy do oskarżania tych chłopców o kradzież. (mi)

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

O DZIESIĘCIOLATCE BEZ ŻALU

Co oznacza odejście od dziesięciolatki? Czy rzeczywiście jest to krok wstecz w rozwoju polskiego szkolnictwa? Jaka będzie nasza szkoła za kilkanaście lat; czy zmieni się ona w porównaniu z dzisiejszą czy też nie? Odpowiedzi na te pytania szukają nie tylko specjaliści od zagadnień oświatowych. Problemami tymi interesują się także rodzice, a – myślę – że i sami uczniowie.

Na pozór szczególnie skomplikowała się sytuacja uczniów kl. I–III. Do września br. byli przekonani (i ich rodzice również), że do szkoły chodzić będą przez 10 lat, gdy nagle okazało się, iż nauka trwać będzie jednak dwa lata krócej i – po staremu – zakończy się otrzymaniem świadectwa ukończenia szkoły podstawowej. Czy jednak skutki tej zmiany w ich dalszej, szkolnej „karierze" będą zauważalne?

PROJEKT I RZECZYWISTOŚĆ

Mówiąc o reformie oświatowej, należy odróżniać reformę strukturalną od programowej. Ta druga będzie realizowana, z tej pierwszej – głównie z racji ekonomicznych – trzeba zrezygnować. Rezygnacja ta nie pociągnie jednak za sobą np. likwidacji klas „zerowych", tak nieodłącznie – zda się – związanych z projektowaną 10-latką. Wycofanie się z koncepcji dziesięcioletniej powszechnej szkoły średniej oznacza bowiem tylko przyznanie się do niemożności realizacji określonego wariantu edukacyjnego. Wszystkie natomiast elementy reformy oświatowej, które sprawdziły się – jak właśnie nauczanie sześciolatków – utrzymane zostaną w praktyce szkolnej.

Reforma programowa, jaką resort oświaty i wychowania zamierza kontynuować, jest poniekąd spowodowana przez nią samą. Okazało się mianowicie, że nowe, opracowane już z myślą o 10-latce programy są bardzo niedoskonałe i należy dokonać w nich zasadniczych korekt. O problemach z dojazdami do szkół i przeładowaniu szkół gminnych pisaliśmy wielokrotnie, tak że nie ma potrzeby się powtarzać. Odrębnym – i to bardzo niepokojącym – zagadnieniem jest brak podręczników szkolnych. O tych wszystkich niedociągnięciach trzeba pamiętać, porównując założenia dziesięciolatki z ich realizacją.

Dziesięciolatka – sądząc po pierwszych latach jej krótkiego żywota – nie byłaby wcale szkołą „z marzeń i snów". Wprawdzie mamy w kraju szkoły pokazowe, świetnie wyposażone, jest ich jednak niewiele; polska rzeczywistość szkolna prezentuje się zupełnie inaczej.

Zatrzymajmy się tylko na jednej sprawie – zaopatrzenia szkół w pomoce naukowe. Dziesięciolatka przewidywała naukę w klasach-pracowniach, wyposażonych we wszelkie pomoce od A do Z. Cóż po tych zamierzeniach, skoro w niejednej szkole nauczycielom i uczniom brakuje dosłownie wszystkiego – łącznie z podręcznikami i kredą.

Z sytuacją tą przedziwnie korespondują wymagania nowych programów, z takich np. przedmiotów jak muzyka czy praca-technika. Skąd nauczyciel wiejski ma wziąć wymagane instrumenty muzyczne czy skomplikowane nieraz narzędzia? Przecież nie z „Cezasu", który już od lat nie może sprostać zamówieniom.

Ambitnego programu 10-latki nie udźwignęła baza szkolnictwa, co już mniej więcej dwa lata temu można było przewidzieć. Oporne brnięcie dalej z reformą, wbrew realnym możliwościom, nie miałoby najmniejszego sensu. Pogłębiałyby się tylko dysproporcje dzielące szkołę rzeczywistą od tej drugiej, choćby najdoskonalszej, ale pozostającej niezmiennie w sferze projektów, które nie sposób wprowadzić w życie.

INNA PERSPEKTYWA

W życiu szkolnym ucznia zajdą – w związku z zaniechaniem reformy – zmiany niewielkie, dla 7–9-latka całkiem nieistotne. Któż bowiem z uczniów klas początkowych wnika w subtelności programowe czy podręcznikowe? Jeśli już, to zajmują się tym rodzice, a zajęcie to jest o tyle interesujące, że po części wyjaśnia, dlaczego to ich pociechy mają często trudności ze zrozumieniem poszczególnych partii materiału nauczania.

„Przedobrzenie" programów nauczania obowiązujących w klasach początkowych jest dowiedzione. Jeśli – jak wykazują badania – ok. 25 proc. dzieci nie jest w stanie sprostać wymaganiom, to fakt ten stawia pod znakiem zapytania celowość kontynuacji obranej linii programowej. Należy się więc spodziewać – i to w krótkim czasie – że programy, szczególnie języka polskiego i matematyki, ulegną daleko idącym przeobrażeniom. Z korzyścią dla ucznia.

Czy oznacza to, że wymagania stawiane uczniom zmniejszą się? Nic podobnego. Po prostu założenia 10-latki jako szkoły średniej zmuszały twórców programów do „upychania" w dziesięcioletnie ramy tego materiału, na którego „przerobienie" mają obecnie uczniowie 12 lat (8 lat szkoły podstawowej i 4 średniej). Można więc będzie teraz te przeciążone programy „rozluźnić", rezygnując np. z wielu szczegółowych wiadomości i encyklopedycznych treści, tak nielubianych przez uczniów.

Odejście od 10-latki zmienia za to całkowicie szkolną perspektywę ucznia. Szkoła, która dzisiejszemu uczniowi klasy trzeciej miała zapewnić wykształcenie średnie, zaoferować będzie mu mogła tylko podstawowe. W 1986 r. dzisiejszy trzecioklasista, podobnie jak teraz jego starsi koledzy, stanie przed trudną decyzją wyboru dalszej nauki w szkole zawodowej, technikum bądź liceum. Nie upowszechnimy więc średniego wykształcenia, co było podstawowym celem reformy oświatowej. Powodów do załamywania rąk z tego powodu jednak nie ma. Powiedzmy otwarcie, dziesięciolatka również nie byłaby szkołą dla każdego. Projekty przewidywały, iż duża część uczącej się w niej młodzieży po kl. VIII (a myślano także o wcześniejszym podziale) miała zostać skierowana do szkół zawodowych. Co by się więc zmieniło?

Nieprzemyślana do końca koncepcja 10-letniej powszechnej szkoły średniej, a także błędy w początkowej fazie wprowadzania jej w życie, sprawiają, że krach reformy nie wywołuje większego żalu i nie jest traktowany jako porażka oświatowa. Przeciwnie, wielu specjalistów uważa, że 10-latka przyniosłaby więcej szkód niż pożytku, likwidując np. licea ogólnokształcące, z których wiele chlubi się długoletnią tradycją i znakomitymi wynikami kształcenia młodzieży.

W latach siedemdziesiątych nie tylko reforma oświatowa odmieniła życie szkół. Wprowadzony został Kodeks Ucznia, kierując się tzw. „pedagogiką sukcesu" w poważnym stopniu ograniczono (a w klasach początkowych wręcz zlikwidowano) drugoroczność, wreszcie rozbudowano sieć liceów zawodowych – szkół o nie najwyższym poziomie nauczania, zapewniających natomiast uzyskanie świadectwa dojrzałości. Wiele wskazuje na to, że we wszystkich tych kwestiach czekają nas zmiany. I te właśnie sprawy, a nie odejście od dziesięciolatki, są znacznie ważniejsze dla ucznia, dla jego codziennej, szkolnej egzystencji. Są to jednak odrębne tematy, do których wrócimy na łamach „ŚM" w niedalekiej przyszłości.

KRZYSZTOF MASŁOŃ

DRUGIEJ TAKIEJ NIE BYŁO I CHYBA NIE BĘDZIE (4)

Zwycięstwo za metą

W 1969 roku znajdowała się na samym szczycie sportowej sławy i kolejne sukcesy, ba, nowe światowe rekordy wydawały się być jedynie kwestią czasu. Dlatego też decyzja o zejściu ze stadionu, o urodzeniu dziecka, zaskoczyła nie tylko polskich kibiców. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że dalsza kariera Ireny Szewińskiej stanęła pod znakiem zapytania. Ale ona nie wahała się odłożyć kolców. Jak każda młoda kobieta pragnęła przeżyć cudowne uczucie macierzyństwa i niezależnie od sytuacji w jakiej się znajdowała miała do tego pełne prawo. Przyszedł więc na świat Andrzejek, największa radość, większa niżeli wszystkie dotąd medale i rekordy łącznie, ogromne zwycięstwo za metą...

Ku uciesze swoich wielbicieli, już w kilka miesięcy po urodzeniu synka, Szewińska ponownie przywdziała dres. Kiedy malec spokojnie spał w wózeczku, choć nie bez trudu, wykonywała dwa, trzy okrążenia boiska. Ale prawdziwe kłopoty się zaczęły, gdy Andrzejek zaczął samodzielnie stawiać pierwsze kroki. Wtedy próbował dorównać mamie i nie mogąc za nią nadążyć głośno protestował płaczem.

A mistrzyni igrzysk w Tokio i w Meksyku, już absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, biegała coraz szybciej. I na dobre uwierzyła, że wróci na stadion. Przecież podobnie było ze słynną Australijką Hunty. Ona również z tego samego powodu rzuciła sport. Na igrzyska do Melbourne pojechała z trzyletnim synem i... zdobyła dwa złote medale. Jej rodaczka, Cuthbert, która na tej samej olimpiadzie dwukrotnie stawała na najwyższym podium, osiem lat później wystartowała na igrzyskach w Japonii. Też jako matka. Też wywalczyła pierwszą lokatę. Albo Holenderka Koen – wygrywała identyczne zawody mając 30 lat i dwoje dzieci. Godnym uwagi jest tu fakt, że wszystkie wymienione olimpijki, podobnie jak Irena Szewińska, uprawiały biegi sprinterskie, a więc konkurencje bodajże najtrudniejsze, dotąd uważane przez ekspertów za dziedziny przeznaczone raczej dla młodych lekkoatletek.

Trenowała więc niezwykle intensywnie. I startowała gdzie się tylko dało. Nie bała się porażek. To, co niektórzy nazywali marnotrawieniem sławy ona traktowała jako szukanie pretekstów do mających nastąpić później rewanżów. Dlatego też zdecydowała się na udział w turyńskiej uniwersjadzie i w mistrzostwach Europy w Helsinkach. Z tych ostatnich wróciła już z brązowym medalem. Dobry to był prognostyk przed mającą się odbyć za rok olimpiadą w Monachium. W obawie przed powtórzeniem się nabytej kontuzji kostki zaniechała skoku w dal. Skoncentrowała się tylko na sprintach, na uzyskaniu maksymalnie szybkiego wyjścia z bloków. W tym czasie pojawiła się już na stadionach Renata Stecher. Słynna reprezentantka NRD, gdy Szewińska zajmowała się Andrzejkiem, wychodzi na pierwsze miejsce światowej listy biegów krótkich. Z nią pani Irena pragnęła w przyszłości wygrać. Ale wie, że na igrzyskach w Monachium będzie to zadaniem przekraczającym jej obecne możliwości.

I nie pomyliła się. Stecher zdecydowanie triumfowała w olimpijskim biegu na 100 m. Ale Polka odpadła dopiero w półfinale. Minimalnie spóźnione wyjście z bloków sprawiło, że rywalki prędzej zameldowały się na mecie. Jednak Szewińska nie rozpaczała, wiedziała, że taki istniał układ sił i w „setce" zr[illegible] było ją aktu[illegible] na dystansie [illegible] wdzie Stecher ponownie pierwsza przerwała taśmę, ale nasza zawodniczka również stanęła na podium. Zdobyła medal brązowy. Cieszyła się z niego również bardzo. A gratulując rywalce zwycięstwa, ze stoickim spokojem zapowiedziała rewanż. Nastąpiło to już wkrótce. Renata Stecher nie przewidziała nawet, że tak szybko będzie zmuszona opuścić sprinterski tron. I to po zawodach rozgrywanych w jej ojczystym kraju. **(zp)**

(Ciąg dalszy nastąpi)

Fot. J. Szewiński



Irena Szewińska i Stanisława Walasiewicz czyli długa historia polskiej lekkoatletyki

WĘDRÓWKI PO CENTRALNEJ AZJI

Nie tak tu dawniej bywało...

1. Przy straganach brodaci starcy w turbanach, o twarzach mędrców, z oczami, w których przebiegłość i głębie serce, chytrość i śmiech... Możesz przejść wśród nich przez cały bazar, próbując tylko wszystkiego po trochu, możesz najeść się do syta – i nic nie zapłacić. Nikt do ciebie nie będzie miał pretensji, bo to tutaj nadal rzecz zwyczajna, rodzaj gościnności. Ale sakiewki z pieniędzmi strzeż jak oka w głowie...

2. Wszędzie ogromne sterty owoców i jarzyn, wiele z nich widzę po raz pierwszy. Zielone figi, hurma (pomarańczowe owoce rosnące niby pomidory na drzewach), zielona rzepa, jakieś podługowate bulwy, fioletowa cebula, migdały w łupinach... Najbardziej malowniczo wyglądają jednak góry wszelkiego rodzaju dyni, melonów, kawonów, patisonów. Są we wszystkich kolorach, a niezależnie od tego w kropki, ciapki, paski, cętki.



W Azji kisi się dosłownie wszystko, nie tylko jak u nas kapustę i ogórki. Na zdjęciu widzicie kiszone buraczki – w słoiczkach, a w długich, wąskich torebkach z folii – kiszoną marchew, cebulę, czosnek, jakieś nieznane mi liście podobne do kapusty, oraz bakłażany i paprykę. Pyszności!
Fot. J. Dąbrowski

Największe z nich, kilkunastokilogramowe, żółte, twarde jak kamienie melony, sprzedaje się w specjalnych plecionkach z łyka. Kupujący wiesza je sobie w piwnicy i może tam trzymać przez wiele miesięcy.

3. Zupełnie siwy, pomarszczony, stuletni chyba staruszek o twarzy brązowej niby dobrze wygarbowana skóra, siedzi bez ruchu ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku. Przed nim płaska skrzynia, podzielona przegródkami, a w nich ni to przyprawy, ni to lekarstwa. Jakieś proszki w kilku kolorach, kosteczki czegoś ususzonego, obok chyba prawdziwe palone kości, jakaś czarna maź, krótko cięte patyczki, nasiona jakichś roślin, maleńkie owocki... Ze sprzedającym nie można się dogadać, strach więc kupić coś, bo potem nie będzie wiadomo co z tym zrobić: wrzucić dla smaku do rosołu, przyłożyć na bolące kolano, zabarwić tym wełnę czy wytruć szczury...

Kiedy tak dumam nad tą tajemnicą azjatyckiej medycyny zatrzymuje się obok jakiś wyrostek, kuca przy skrzynce i bez słowa wyciąga rękę do jednej z przegródek. I w tym momencie drzemiący wydawałoby się staruszeczek błyskawicznie dobywa z fałdów chałata krótką trzcinkę i wali nią intruza po łapie. Nie zmieniając przy tym zupełnie wyrazu twarzy! Piekielna musi być moc tych ingrediencji, że są tak pieczołowicie chronione...

4. Jednak bazar, choć dla Europejczyka nadal stanowi egzotyczną atrakcję – nie jest już tym dla mieszkańca Centralnej Azji czym był niegdyś. To na takich bazarach skupiało się dawniej, przed Rewolucją, nie tylko całe życie handlowe, ale i towarzyskie. Karawany kupieckie przywoziły bowiem z dalekich krain nie tylko towary, ale i najświeższe wieści. Tu się wymieniało poglądy, dyskutowało przy herbacie – pilnie bacząc czy aby zausznicy beja nie podsłuchują, tu było centrum rozrywkowe dla wszystkich, nawet najuboższych, tutaj wreszcie ogłaszano oficjalne zarządzenia. Miasta, które miały duże bazary – znane były na przestrzeni wielu tysięcy kilometrów, od Japonii po Morze Czarne, i od Zatoki Perskiej – po strefę wiecznych śniegów.

Dziś bazary Radzieckiej Azji Centralnej pełnią już nieco inną rolę, podobną nieco do tej jaka przypadła w udziale naszym targom i jarmarkom. Mają nadal swoich zagorzałych zwolenników, gości i uczestników – ale część ze swej dawnej chwały musiały oddać sieci sklepów, restauracji, domów towarowych. Teatry i telewizja zabierają im widzów, prasa i radio – tych którzy szukali tu wieści ze świata. Są więc jeszcze, ale coraz bardziej cywilizowane, cichsze, mniejsze...

5. Na ladzie przy budce leżą kawałki czegoś wyglądającego jak nasze mydło, a obok ciasno zwinięte zwoje cieniusieńkiego – dosłownie: grubości włosa – niby makaronu. Mówią mi, że to chałwa, ale żebym tego nie kupował, tak samo jak nanizanych na sznurek żółtawych dużych kryształów nazywanych „sachar nabot". – Nie zapominaj, że jednak jesteś w centrum Azji – dodaje nasz przewodnik i opiekun – i nie chciałbym żeby ci coś zaszkodziło...

JERZY DĄBROWSKI



To jest to, czyli słynne azjatyckie owoce basztonowe: melony, kawony, dynie, patisony, arbuzy...
Fot. Dionizy Łoziński

ZWYKŁA MGŁA + NAELEKTRYZOWANA MGŁA I... NIE MA ŻADNEJ MGŁY!

WIELKA BRYTANIA (PAP). Naukowcy z Manchester wynaleźli – jak przynajmniej sami twierdzą – radykalny sposób na likwidację mgły. Spryskują oni w tym celu zamglone obszary... sztucznie wytwarzaną mgłą wodną, której kropelki są naładowane elektrycznie. Pod wpływem ładunku elektrostatycznego wiążą się one z wodą w naturalnej mgle i opadają jako deszcz. Prace nad tą metodą, która – jak się przypuszcza – przyniesie istotną poprawę bezpieczeństwa w ruchu lotniczym i drogowym, prowadzone są pod kierunkiem prof. Johna Lathama – kierownika unikalnego Wydziału Fizyki Chmur w Instytucie Nauki i Techniki jego uniwersytetu. Twierdzi on, iż nowa metoda naśladuje naturalny proces, prowadzący do opadów deszczowych. **(tok)**

KANDU, NOOTKA I ŚPIEWAJĄCY LEW MORSKI

Na turystę przybywającego do Niagara Falls na pograniczu USA i Kanady czeka wiele atrakcji. Na ogół wszyscy znają to miejsce z gigantycznego wodospadu, ale już nie wszyscy wiedzą o Wax Museum, czyli Muzeum Figur Woskowych, jak również o Marinelandzie.

Spacerowym krokiem idzie się tam od centrum miasteczka około 45 minut, można również dojechać taksówką, ale to już nie turystyka. Idąc spacerem mijamy Wax Museum, a z boku mamy wspaniały widok na Jezioro Erie.

Wstęp do Marinelandu – 4 dolary. W programie, powtarzanym kilka razy dziennie – lew morski (dla fachowców: uchatka kalifornijska, czyli *Zalophus californianus*), który... śpiewa trzymając w swoich łapopłetwach gitarę. Po nim po-



jedyncze i zbiorowe akrobacje delfinów: przeskakiwanie przez obręcz, podbijanie czubkiem pyska coraz wyżej podrzucanej piłki. Po udanych ewolucjach delfiny podpływają do mostu, gdzie otrzymują w nagrodę od swoich trenerów świeże, małe rybki. Po obejrzeniu programu *delfinów można* obejrzeć podobny popis reprezentantów... wagi ciężkiej. Są to dwie orki: Kandu i Nootka o wadze półtorej i trzy tony. Na gwizdek trenera te zwinne olbrzymy wyskakują z wody niby wystrzelony pocisk i podbijają piłkę umieszczoną dziesięć metrów nad powierzchnią wody! Rywalizacja jest ostra. W wyskoku lepsza jest Kandu, w wyścigu wzdłuż basenu zwycięża częściej Nootka – widzicie ją na zdjęciu.

Tekst i fot.
ANDRZEJ KAROLAK

AGNIESZKA I KRZYSZTOF, czyli dwie harcerskie drogi

SPRAGNIENI

Z WYSOKIEGO PUŁAPU

– Moja pierwsza szkoła, mój pierwszy szczep – to było to! Przez cztery lata w drużynie zuchowej mieliśmy nie tylko zapewnione rozrywki, ale też dowiedzieliśmy się dokładnie, czym jest harcerstwo, poznaliśmy regulaminy stopni sprawności, musztrę. Jednej z naszych koleżanek udało się wcześniej niż nam być na prawdziwym obozie harcerskim. Po powrocie, już w czwartej klasie była harcerką. Zaszczyt niesamowity. Jakże my jej zazdrościliśmy! Ale i dla nas przyszła w końcu wymarzona chwila.

Na początku piątej klasy harcerze z siódmej i ósmej zorganizowali nam bieg patrolowy. Wieczór, las, cisza – nastrój wspaniały. Na punktach patrolowych starsi koledzy sprawdzali nasze wiadomości: czy znamy alfabet Morse'a, czy wiemy jak wygląda prawidłowe umudurowanie, co oznacza jaki sznur, jaka jest hierarchia funkcji itd. A później wspólna kiełbaska przy ognisku i powrót całą zgrają do domu. Po tygodniu uroczyste przyrzeczenie: wszyscy w mundurach, ognisko, krąg. Wreszcie był już człowiek harcerzem!

Zaczęła się bardziej konkretna działalność – prace społeczne już nie tylko dla szkoły, ale i dla środowiska, dla miasta, organizowanie różnych imprez dla zuchów. A na przykład 1 Maja to już była wielka pompa, wielka rywalizacja między szczepami. Wymyślaliśmy oryginalne szyki marszowe – kiedy szliśmy przed trybuną, naprawdę było wiadomo, że idą harcerze. Ileż razy trzeba było przelecieć nie tylko wszystkie sklepy, ale i wszystkie miasta naokoło w poszukiwaniu wymaganych białych tenisówek. Ale nie zdarzyło się, żeby ktoś nie miał.

W siódmej klasie przeprowadziłam się do innego miasta i... przeżyłam wielki zawód. Spotkałam się bardziej z fikcją niż z harcerstwem. Koledzy z drużyny robili wielkie oczy na widok mojego kompletnego umundurowania. Pas harcerski, finka – a cóż to za dziwactwa?! Na zbiórki przychodziło się, żeby po prostu przez godzinę posiedzieć i pogadać z drużynową o tym, co było w szkole, co ostatnio widziało się w kinie, w telewizji, zwyczajnie poplotkować. Tak jakby nie można było tego robić po zbiórce. Ani musztry, ani nauki piosenek harcerskich, an żadnych gawęd na temat historii i tradycji harcerstwa. Wielu w ogóle nie miało pojęcia, co to takiego totem funkcje harcerskie.

Przeżyłam też szok innego rodzaju. Przechodząc tutaj, miałam jedną belkę, z której bardzo się cieszyłam (w dawnym szczepie najwyżej raz na rok można było zdawać na wyższy stopień). Tymczasem ani się nie obejrzałam, a tu buch: zielony sznur, granatowy sznur i to w odstępie miesiąca. Dostaję się do szkoły średniej, jestem oczywiście w drużynie HSPS i od razu: w pierwszej klasie – drużynowa, w drugiej klasie – zastępca komendanta, w trzeciej – komendant. Jak mogłam doznać takich zaszczytów, nie mając jeszcze wówczas przeszkolenia, a jedynie dlatego, że coś w ogóle wiedziałam i robiłam?!

Ponieważ punktem odniesienia jest dla mnie zawsze mój dawny szczep, patrząc na to, co zdziałałam w ostatnich latach, nie odczuwam satysfakcji. Można by powiedzieć, że im kto w lepszych warunkach zaczyna, tym więcej czeka go potem rozczarowań w zetknięciu z tym, co nie wyjątkowe, a powszechne.

Po diabła fatygować się i ścigać po podłodze uciekające piłki pingpongowe, skoro proste urządzenie techniczne może nam je podać? Po co psuć oczy przy robieniu notatek, skoro można zaopatrzyć notes w automatycznie zapalającą się po jego otwarciu żaróweczkę? Albo: czy cofający się przy hamowaniu pedałami łańcuch roweru nie mógłby przy okazji zapalać tylnego światła stopu? Te pytania najlepiej – jak mi się zdaje – oddają sposób myślenia tegorocznych harcerskich patentowiczów...

28 LAUREATÓW BIURA MŁODZIEŻOWYCH PATENTÓW GK ZHP – 80

KLEJ w strzykawce, ROZUM w głowie...



Mariola Pluta (w okularach) i Alina Tkaczyk – obie z Rybnika, będącego wylęgarnią wynalazczych talentów

Wiem, że wielu spośród tych, którzy przeczytali powyższy wstęp, zechce, bym zaraz wyjaśnił, na czym się konkretnie przedstawiane pomysły zasadzają. Jakie to urządzenie podaje piłki pingpongowe? Jak działa mechanizm, który zapala rowerowe światło stopu? Ano, nie mogę odpowiedzieć. Nie wolno ich dokładnie opisać, ani narysować. Wszak przynajmniej te, które pozyskały patent – są chronione tajemnicą. Okoliczność, która nieco wiąże ręce tym, co chcieliby młodzieżowe pomysły szybko spopularyzować, bo jest w większości z nich coś bardzo interesującego:

Proza życia, czyli zwyczajność – ale mądra

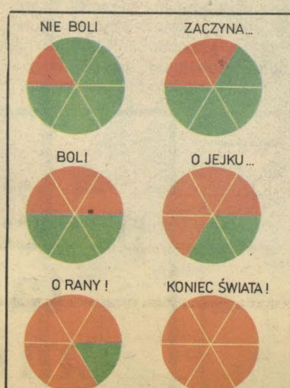
Oto np. **Jacek Poganowski** (IV LO, Sosnowiec), proponuje przechowywanie kleju w strzykawce jednorazowej, zamiast w tubce, z której to tubki klej się strzykawką wysysa. **Krzysztof Kmiecik** (Szkoła Podstawowa nr 1, Bochnia) – takie rozwiązanie torby na zakupy, by łatwo było nosić w niej butelki, a **Bogumił Kania** (II LO, Chorzów), takie, by torba nie obijała się o nogi – co jest możliwe dzięki pomysłowemu rozwiązaniu uchwytów. Tym, którzy za nic nie potrafią nawlec igły, **Dariusz Wojciechowski** (Technikum Elektryczne, Nowa Huta) proponuje taki sposób obcinania nitki, który jej koniec zarazem usztywnia, sprawiając, że się ona w uchu igielnym nie „rozłazi".

Pomysły te odznaczają się prostotą, co – jak nam powiedział, omawiając je podczas uroczystości wręczenia laureatom dyplomów dr inż. **Lech Janczewski** – nie zawsze oznacza, że łatwo je zrealizować. Weźmy choćby ochronną siatkę na rurę wydechową, będącą zabezpieczeniem przed dowcipnisiami, którzy do takiej rury lubią wepchnąć nie wiadomo co (**Jarosław Pakieła,** ZSZ Lwówek Śl.). Niby to takie proste – a musi być ona zmyślna i z odpowiedniego materiału wykonana, bo inaczej spaliny raz – dwa dadzą jej radę.

Są wśród tych pomysłów takie, które mogą poważnie ułatwić życie chorym i zmniejszyć cierpienia – np. zmodyfikowane nosze czy automatyczny basen szpitalny (patrz – lista patentów). Kiedy indziej znów wydaje się, że autorzy chcą zanadto ułatwić innym życie... No bo, na cóż nam suszarka do skarpet – z grzejną spiralką, silnikiem napędzającym powietrze, z czujnikami kontrolującymi, czy skarpetom nie za gorąco? (**Maciej Adamowski,** Szkoła Podstawowa Nw. Aleksandrów). Urządzenie zmyślne – ale czy nie wystarczy kaloryfer?

Niektórzy bujają w obłokach...

...projektując coś fantastycznego i odległego. Takie pomysły nie mają raczej większych szans na patent ani wyróżnienie, jako że trudno je zrealizować. Przykład? Nowe typy rakiet laserowych – bo i taki pomysł ktoś przysłał. Z kolei pewien 12-latek twardo pozostaje na Ziemi, ale chce zmieniać jej oblicze przy pomocy żarówek, baterii i wyłącznika. Opierając się na tych detalach – wymyśla i nadsyła do Biura coraz to inną nowość. A to pomysł lalki ze świecącą głową, a to świecące kwiaty, to znów projekt oświetlenia kredensu, który od razu wewnątrz zajaśnieje, gdy tylko go otworzyć...



Ale bywa jeszcze inaczej: ktoś wymyślił... klapy do samolotu odrzutowego, osiągającego ponaddźwiękową prędkość. Pomysł skierowano do ekspertów, a ci orzekli: ależ takie klapy już dawno istnieją!

Nie jest jednak tak, by szansę w Biurze mieli tylko ci, co pozostają wśród nitek, żaróweczek, baterii i piłeczek pingpongowych. Oto przecież wśród wyróżnień mamy też „obrazy holograficzne wytwarzane laserowo" (**Robert Krupa,** Szkoła Podstawowa nr 145, Kraków).

Od pomysłu do...

...szuflady. Tak to często wygląda w praktyce. A nie musi. „...*Autorom projektów wynalazczych, mających cechy wynalazku, wzoru użytkowego lub zdobniczego, BMP zapewnia nieodpłatną pomoc przy zgłaszaniu tych projektów w Urzędzie Patentowym PRL...*" – powiada regulamin Biura.

Żeby się jednak pomysł nadawał do rozpatrzenia przez Urząd, musi być odpowiednio opracowany. Niestety, często nie jest. Dlatego dr **Kozak** postuluje: uczmy młodych wynalazców pełnego opracowania swych projektów, a nie tylko nadsyłania szkiców. Zawiadamiając o sukcesie w BMP (patent, wyróżnienie), żądajmy jednocześnie przysłania porządnego projektu. Może wtedy ich działalność nie będzie tylko sztuką dla sztuki...

I druga sprawa... Rzecz jasna, szansę zdobycia patentu i trafienia do praktyki mają głównie te wynalazki, które rzeczywiście są przydatne, na które, że tak powiem, „czeka świat". Chodzi więc o to, by się wynalazcy w tym, na co świat czeka, lepiej orientowali. Stąd pomysł utworzenia tzw. **Rzeczywistego Klubu Wynalazców,** gdzie mogliby oni dyskutować nad tym, co wynajdować, jakie powinny być kierunki wynalazczego natarcia...

Warto się nad tym zastanawiać tym bardziej, że młodzieżowe wynalazki nie są obojętne przemysłowi. Przykład z Klubu Wynalazców „Młodego Technika": pomysłem zelektronizowanych bieżni sportowych zainteresowano się w przemyśle, wypytywano nawet BMP, jakie są do tego pomysłu zastrzeżenia patentowe, czy ktoś tego już gdzieś nie wynalazł za granicą itp.

Z dentystą się dogadamy, a ze sobą – nie?

Co do dentysty: chodzi tu o jeszcze jeden tegoroczny pomysł, nadesłany do BMP, który zostawiłem na koniec jako osobliwość... Oto **Robert Rabenda** (Szkoła Podstawowa we wsi Drobnice) proponuje urządzenie, które pozwala „rozmawiać" z wyrwizębem nawet wtedy, gdy ten ze szczętem zaknebluje nas ligniną (patrz rysunek).

Zaś co do porozumiewania się młodych ludzi z BMP, to słychać narzekania, że nie jest wystarczające. Jak się okazuje, wielu harcerzy, a nawet wiele całych szczepów nic o istnieniu Biura nie wie.

My, „Świat Młodych", dla wsparcia tego ruchu przypominamy, że i nasza redakcja ściśle współpracuje z Biurem, a więc przyjmuje i przekazuje mu wszelkie otrzymane pomysły. Ale chcielibyśmy też przy tym symbolicznym ogniu, jaki co roku zapala się w Sali Kominkowej GK ZHP podczas posiedzenia BMP, upiec jeszcze coś... Wszakże twórcza działalność techniczna młodych ludzi – to nie tylko wynalazczość. To także przemyślenia, własne wizje życia zmienionego przez technikę, twórcze pomysły nie z tej ziemi – itp. Chcielibyśmy, abyście się podzielili nimi z nami, tym bardziej że od niedawna oddaliśmy wam do dyspozycji całą drugą stronę pisma. Liczymy więc, że zechcą się na niej wypowiedzieć także ci, którzy sądzą – a może właśnie nie sądzą? – że technika jest w stanie korzystnie zmienić świat...

TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. **autora**

Od nitki do prądnicy czyli Młodzieżowe Patenty '80

Niżej podajemy listę zdobywców tegorocznych patentów BMP, podając nazwiska laureatów, szkoły i tytuł patentów:

1. **Jacek Zębalski,** ZSZ MPK Kraków. „Zmodyfikowane nosze".
2. **Piotr Świergoń,** LO nr 1, Zamość. „Autentyczny basen szpitalny".
3. 4. **Tadeusz Kaczmarek,** Technikum Energetyczne, Sosnowiec. „Prysznic o zmiennej ogniskowej" i „Mechanizm załączający prądnicę rowerową".
4. **Radosław Jankowski,** Zbiorcza Szkoła Gminna, Wolsztyn. „Log do łodzi".
5. **Marian Szuba,** Technikum Elektroniczne im. Curie-Skłodowskiej, Bytom. „Log do łodzi z wirnikiem czteropłatowym".
6. **Mariola Pluta,** LO, nr II, Rybnik. „Wieszak na żelazko".
7. **Maciej Kotusz** (najmłodszy patentowicz), LO nr II, Rybnik. „Podświetlany notes".
8. **Robert Milewski,** Szkoła Podstawowa nr 87, Kraków. „Poziomica z kątomierzem".
9. **Alina Tkaczyk,** LO nr II, Rybnik. „Trójkolorowy wyciskacz do mas".
10. **Andrzej Wiśniewski,** Szkoła Podstawowa nr 3, Świdnik. „Dodatkowe światła hamulcowe".

HARCERSTWA

OD PODSTAW

– Właściwie „od zawsze" wiedziałem, że harcerstwo musi być niezwykle atrakcyjne. Tyle się nasłuchałem w dzieciństwie na ten temat od mojej babci i od ojca. Poszedłem do szkoły, a tu ani zbiórek, ani drużynowych, nic. Komendant chciał jednak zacząć pracę w szczepie, zorganizował więc przyrzeczenie. Kupiłem mundurek, poszedłem. Przyrzeczenie odbyło się w typowy sposób – sala gimnastyczna, sztandar. Książeczek harcerskich ani krzyży oczywiście nie dostaliśmy. I nie wiem, czy kiedykolwiek zobaczyłbym i jedno i drugie, gdyby nie to, że szkoła musiała być reprezentowana w jakimś tam biegu na orientację. Zaraz „odkryto" mnie jako harcerza i od ręki, pod czas lekcji, wypisano książeczkę. Ale po stempel do komendy hufca musiałem już pójść sam. Wziąłem udział w biegu i... na tym skończyło się moje „harcerzowanie".

Drużyny nie było, więc czekałem cierpliwie na drużynowego – co miałem innego robić? Trwało to dwa lata. I raptem w szóstej klasie – jest drużynowy! Chłopak z trzeciej klasy liceum, w tym samym wieku, co ja teraz. Radość była jednak przedwczesna, bo drużynowy nigdy nie miał czasu. Zbiórki odbywały się tylko wtedy, kiedy całą drużyną szliśmy po niego do domu. Wkrótce w ogóle zrezygnował z pracy z nami. Znów stałem się „wolnym" harcerzem. Polegało to na tym, że w dni mundurowe chodziłem sobie w mundurku do szkoły. Dla frajdy po prostu. I to jest cała historia mojego harcerstwa w szkole podstawowej.

Będąc już w drużynie HSPS odkryłem młodzieżowy klub instruktorski przy komendzie hufca. Miało przy nim powstać kółko fotograficzne, a fotografia jest moją pasją. Kółka wprawdzie nie zorganizowano, ale sam MKI bardzo mnie zaciekawił. Przeszedłem kurs instruktorski w Chorzowie, w lecie udało mi się pojechać na dwa obozy. Pierwszy raz w życiu. To naprawdę świetna sprawa.

Od września mam swoją drużynę. I, co ciekawe, w mojej dawnej szkole podstawowej. Do września tamtejszy szczep, zupełnie jak za moich dawnych czasów, istniał jedynie na papierku. Ostatnie przyrzeczenie harcerskie odbywało się następująco: uczniowie stali przy ławkach, drużynowy rozdał im książeczki i powiedział – „już po wszystkim". Zmieniło się więc, tylko że na gorsze.

Moja drużyna liczy 16 osób z siódmej klasy. Za nic w świecie nie chciałem im narzucać zastępowych. Najpierw więc wyjaśniłem, na czym polega ta funkcja, jakie cechy zastępowy mieć powinien, i dopiero potem przeprowadziłem wybory. Wybrali sobie sami tych, którzy mieli największy autorytet. Natomiast do rady drużyny celowo wciągnąłem dwóch największych zabijaków, którzy zupełnie nie wykazywali chęci do roboty. Przekonałem się, że tak zwane ograne chwyty jednak skutkują – obaj pracują aż miło.

No więc mam te dwa zastępy: chłopców i dziewcząt. I teraz główkuję potężnie, żeby jak najciekawiej prowadzić zbiórki. Kilka z nich połączyłem na przykład z superbiegami harcerskimi. Pomysłów na przyszłość na pewno też nie zabraknie.

Do wytrwałości i systematyczności dopinguje mnie szczególnie jedno: bardzo chcę, żeby moje dziewczyny i moi chłopcy nigdy nie znaleźli się w sytuacji „wolnego" harcerza, jak ja kiedyś. Bo czyjaż to wina, jeśli dzieje się źle? W dużej mierze instruktorów, którzy odwalają zbiórki. Doskonale widzę teraz, jak bardzo wszyscy w mojej drużynie są spragnieni harcerstwa. Nie wolno mi ich zawieść.

Notowała: EWA KOSIŃSKA

4H.Sz.Until.E.of.T!

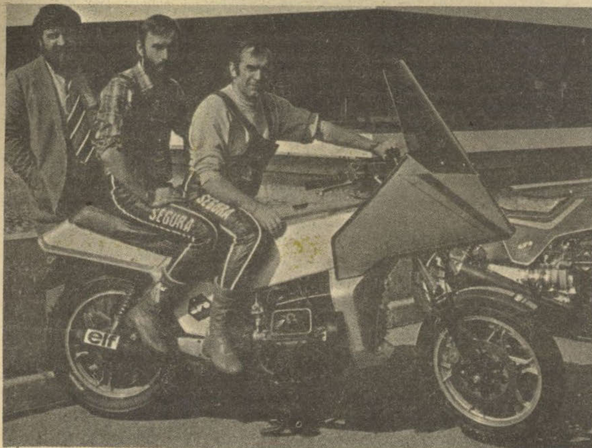


BFG – 1300

Motocykle marki BFG nie są produkowane w znanych zakładach. Wytwarzane są one nieseryjnie w warsztatach, których założycielami są panowie Luis Boccardo, Dominigue Flavario, Therry Grange.

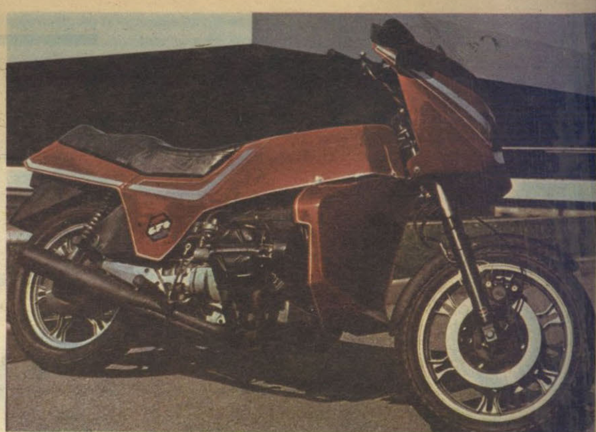
Są oni reprezentantami zawodów technicznych, a z pierwszych liter ich nazwisk powstała marka motocykla – liczba zaś mówi o pojemności silnika.

Wspomniana mikro-wytwórnia nie zajmuje się produkcją wszystkich zespołów motocykla, a kompletuje je w gotowy produkt wykorzystując zespoły i mechanizmy pochodzące z wielu renomowanych fabryk akcesoriów, jak i kompletnych pojazdów.



Właśnie w tym motocyklu, jako źródło napędowe zastosowany został silnik pochodzący ze znanych zakładów samochodowych Citroëna. Problem adaptacji silnika samochodowego tej firmy, do pojazdu jednośladowego nie nastręczał zbytnich trudności, gdyż Citroën całą gamę produkowanych przez siebie samochodów małolitrażowych wyposaża w silniki chłodzone powietrzem. Taki też silnik pochodzący z samochodu CITROËN GS wykorzystany został do budowy motocykli wytwarzanych z marką BFG. Na przedstawionych ilustracjach pokazane są dwie wersje nadwoziowe tych motocykli, różniących się między sobą kształtem obudowy przedniej części pojazdu.

Silnik o przeciwbieżnym układzie cylindrów umieszczony jest w ramie w taki sposób, że po dwa cylindry znajdują się po jednej i po drugiej stronie motocykla. Ta czterocylindrowa jednostka napędowa posiada pojemność 1299 cm sześc. i moc 70 KM uzyskiwaną przy 5500 obr/min i stopniu sprężania 8,7.



Napęd od tego samochodowego silnika przenoszony jest na tylne koło za pośrednictwem 5-przekładniowej skrzyni biegów i wału napędowego. Przednie koło osadzone jest na widelcu teleskopowym, tylne na wahaczu resorowanym amortyzatorami teleskopowymi. Przy przednim kole znajdują się podwójne hamulce tarczowe, przy tylnym pojedynczy hamulec tarczowy. Uruchamianie obydwu hamulców odbywa się przy pomocy oddzielnych układów hydraulicznych.

Przed kierownicą na obudowie lampy znajduje się zblokowany zestaw wskaźników zawierający szybkościomierz, obrotomierz, wskaźnik poziomu paliwa, ciśnienia oleju, temperatury oleju, ładowania i szereg lampek kontrolnych informujących o właściwym działaniu niektórych zespołów pojazdu.

Niebagatelny jest ciężar motocykla – wynosi on 256 kg. Zbiornik paliwa mieści 26 litrów. BFG-1300 osiąga prędkość maksymalną 201 km/godz.

ZENON DUTKIEWICZ

AKWARIUM dla każdego

(6)

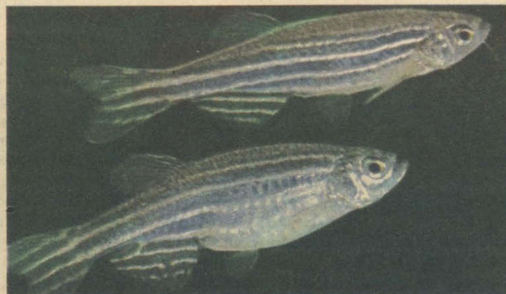
W listach – które przysyłacie do mnie w ogromnych ilościach – powtarzają się często takie same pytania. Rozumiem to, bo jeśli komuś trafił do rąk po raz pierwszy dzisiejszy odcinek „Akwarium dla każdego" – ten nie wie, że na jego pytanie odpowiedziałem już w jednym z poprzednich odcinków. Aby nie wracać do spraw niemal podstawowych, przypominam: o tym, **ile rybek można hodować w jednym akwarium** pisałem w odcinku 4; o **chorobie ryb zwanej „rybią ospą"** – ichtioftiriazie – w odc. 5; o **zwalczaniu zielenienia wody** – w odc. 4; o **zmienianiu wody w akwarium** oraz wstępne **rady o karmieniu** ryb – w odc. 3; w odc. 4 zamieściłem także **jeden z przykładów prawidłowego urządzenia akwarium** i obsadzenia go roślinami.

PRZYSŁIJCIE MI KSIĄŻKĘ O RYBACH AKWARYJNYCH! O przysłanie podręczników akwarystyki za zaliczeniem pocztowym proszą mnie m. in. **Janusz Czyba** z Bielska-Białej, **Magdalena Napierała** z Brodnicy, **Rafał Seremet** z Rzeszowa, **Marek Sporek** z Katowic i bardzo wielu innych. Niestety, nie jestem w stanie tego robić, bo skoro Wy nie możecie ich znaleźć w księgarniach, to skąd ja je mam wziąć? Poza tym wysyłką książek mogą zajmować się tylko powołane do tego księgarnie wysyłkowe. Redakcja nie może również zajmować się pośrednictwem w sprzedaży czy wymianie sprzętu akwaryjnego, rybek i roślin.

O CENACH RYBEK, AKWARIÓW I PRZYBORÓW. Tak pisze do mnie **Jarosław Palus**, 11-letni akwarysta z Katowic: *„Moje uwagi są dość dziwne: młodego i niedoświadczonego akwarystę trochę odstraszacie cenami, np. gupik kosztuje w Warszawie 20 zł. W Katowicach gupik kosztuje tylko 6–8 zł, a pokarm suchy od 6 do 12 złotych."* To prawda – na terenie Śląska i Zagłębia rybki akwaryjne są najtańsze, bo jest tam najwięcej hodowców, a także wielu akwarystów (np. emeryci i renciści) trudni się wyrobem drobnego sprzętu akwaryjnego. W Warszawie, w spółdzielczych sklepach akwaryjnych, niektóre gatunki ryb osiągają 100, 150 i ponad 200 zł za sztukę. To prawda, że są to ryby rzadkie, egzotyczne, ale cena nie jest na uczniowską kieszeń. **Tadek Mich** z Garwolina, **Olga Z.** z woj. płockiego i inni pytają, ile kosztują w Warszawie akwaria i „brzęczyki" czyli pompki do powietrza. Odpowiadam: w listopadzie w spółdzielczych sklepach akwaryjnych ceny kształtowały się następująco. Akwarium w metalowych ramach o poj. 15 litrów – 270 zł (innych chwilowo nie było), akwarium szklane klejone (bez ram) 12-litrowe – 200 zł, 8-litrowe – 160 zł, 5-litrowe – 130 zł. Trudno mi wyraźnie polecać te klejone akwaria, gdyż sprzedający niewiele mogli powiedzieć o ich wytrzymałości. Sądzę, że nie nadają się one dla początkujących i niezbyt bezpieczne jest umieszczanie na nich obudowy z oświetleniem. Pompki elektryczne „brzęczyki" spotykałem po 318 zł oraz 180 zł (te ostatnie stojące w pionie); filtry „napędzane" tymi pompkami – od ok. 60 zł do 100 zł. Do cen i asortymentu akwaryjnych przyborów wkrótce powrócimy.

POKARM ŻYWY: ROZWIELITKI I INNE. *„Bardzo chciałbym wiedzieć* – pisze **Mariusz Baranowski** z Gdańska-Przeróbki – *jak wyglądają rozwielitki i larwy komarów, którymi chciałbym karmić moje rybki. Prosiłbym o zamieszczenie w kąciku ich zdjęć."* Proszę bardzo; zamieszczam rysunki: A) rozwielitki (*Daphnia pulex*), B) oczlika (*Cyclops fuscus*) oraz C) larwy wodzienia (*Corethra plumicornis*) („niekłującego komara"). Rozwielitki dorastają do 5 mm, młode są znacznie mniejsze, żyją w stawach, rowach, a nawet kałużach. Oczliki – dług. 1,25–4 mm – można poławiać nawet w zimie, gdy woda nie jest pokryta lodem. Larwy wodzienia dorastają do 15 mm długości, są szklisto-przeźroczyste. Oba skorupiaki (rozwielitkę i oczlika) oraz larwę wodzienia można łowić nawet prymitywną siateczką z pończochy stylonowej. Uważać, by nie zawlec przy tym do akwarium niepożądanych owadów lub ich drapieżnych larw! Łowić lub kupować małe porcje tego typu pokarmu, gdyż przetrzymywany łatwo ginie i nie nadaje się do karmienia.

W następnym odcinku m. in. o mętnieniu wody. Do zobaczenia! **DANIO MALABARSKI**



DANIO PRĘGOWANY (*Brachydanio rerio*). Dobra rybka dla początkujących. Dorasta do ok. 5 cm długości. Temperatura wody 18–21°C, dla rozmnażania 24°C. Danio pływa szybko, jest ruchliwy, najlepiej czuje się w stadku. W 10-litrowym akwarium można hodować 8–10 danio. Boki zbiornika obsadzić roślinnością – środek wolny do „wypływania się". Danio pręgowany szybciej niż inne ryby rzuca się na pokarm; żywe dafnie i oczliki należy dawać na zmianę z pokarmem suchym lub sztucznym. Wskazany też tubifeks. Samiec (na zdjęciu – u góry) jest zwykle smuklejszy niż samiczka, której brzuch jest wyraźnie bardziej wypukły.

„Jedna praca domowa tak wiele zmieniła"....

Chciałbym opisać, moim zdaniem, interesujące wydarzenia w naszej klasie. Sprawa *ta zaczęła się od tego, że na* lekcji języka polskiego przerabialiśmy czytankę „Macte animo" i „Minuta ciszy po Ludwice Wawrzyńskiej". Jak wiadomo, obydwa te utwory ukazują postacie wybitnych przedstawicieli zawodu nauczycielskiego: pedagoga i nauczycielki, która oddała swe życie, ratując dzieci. Nasza pani od polskiego a zarazem wychowawczyni klasy zadała nam do domu pracę na temat: „Napisz charakterystykę idealnego, twoim zdaniem, nauczyciela".

Wypracowania te, jak później przyznała, przeszły jej wszelkie oczekiwania. Zadając je nam myślała, że napiszemy trochę o L. Wawrzyńskiej i A. Ronthalerze, postaciach w przerobionych przez nas utworów. Tymczasem prace te wciągnęły ją jak najciekawsza, pasjonująca lektura. Doszły w nich do głosu wszystkie żale i bolączki klasy. Uczniowie często pisali o sprawach, które zdarzyły się dawno, przed kilku laty i nauczyciele zdążyli już o nich zapomnieć.

Następna lekcja polskiego została w całości poświęcona omówieniu wypracowań. Była nietypowa, ponieważ nauczycielka przeprowadziła rzecz bardzo trudną, a mianowicie samokrytykę. Stwierdziła, że czytając nasze prace, wiele się nauczyła. Znalazła w nich swoje ideały, z którymi 30 lat temu startowała do pracy nauczycielskiej, a które zagubiła przez lata użerania się z uczniami.

Najtrafniejsze ze spostrzeżeń zawartych w naszych pracach zostały odczytane w pokoju nauczycielskim, oczywiście anonimowo. Myślę, że i innym nauczycielom przydały się nasze uwagi. Jedną ze spraw zawartych w wypracowaniach była sprawa prowadzenia godzin *wychowawczych. Po prostu wszyscy mieli już dość nieśmiertelnych apeli i nudnego* omawiania *stopni i frekwencji.* Aby dokładniej poznać nasze zdanie w tej sprawie, wychowawczyni prosiła nas o anonimowe uwagi dotyczące treści godzin wychowawczych. Opinie nasze zostały odczytane na pokazowej godzinie wychowawczej zorganizowanej przez naszą panią dla wszystkich nauczycieli. Jedną z propozycji było przeplatanie normalnych godzin godzinami nadzwyczajnymi, jakimi np. byłyby spotkania z gościem. Jako pierwsze odbyło się spotkanie z dawną uczennicą naszej szkoły, naszą zduńskowolską poetką, panią Angerman. Przebiegało w nastrojowej atmosferze przy świecach. Poetka pięknie recytowała swoje wiersze.

Miałem ogromną satysfakcję, obserwując reakcję klasy. Te rozrabiaki, śmiejący się z rzeczy najsmutniejszych i w najmniej odpowiednim momencie, siedzieli bez słowa. Więcej, byli wzruszeni, rozumiecie, oni wzruszeni! Myślę, że niektórzy z nich pojęli wreszcie, że istnieje coś poza grą „w nogę" i modnymi zespołami. Może po tym spotkaniu niektórzy z nich sięgną po raz pierwszy po tomik wierszy...

Zmieniły się także zwykłe godziny wychowawcze. Zaczęło się na nich mówić o naszych problemach. Na razie atmosfera jest dość sztywna, ale chyba się z czasem rozruszа. I w ten sposób jedna praca domowa tak wiele zmieniła w naszej szkole.

Andrzej Endler ze Zduńskiej Woli

Czy będzie krajowy finał Złotego Krążka „Świata Młodych”?

IMPREZA WARTA ORGANIZACJI!



Różne były koleje losu Złotego Krążka. Panowały nawet opinie; że impreza nie cieszy się już tak wielkim powodzeniem, że powoli zaczyna ustępować na rzecz hokeja. Ale praktyka wciąż przeczy tego rodzaju stwierdzeniom, bowiem Złoty Krążek „Świata Młodych” uprawia się nadal w większości naszych szkół. Jest też, podobnie jak Błękitna Sztafeta, główną konkurencją wszystkich corocznych wojewódzkich igrzysk. Mamy więc nadzieję, że i podczas tegorocznej zimy dojdzie do bezpośredniego pojedynku czołowych krajowych zespołów. Najlepszym wyjściem z tej trudnej (brak funduszów) sytuacji byłoby zaproszenie przodujących drużyn na jedne z igrzysk wojewódzkich. Tak zrobiono w ubiegłym sezonie w Olecku, gdzie ogólnopolskie zawody rozegrano w ramach zawodów lokalnych. I trzeba przyznać, że ich organizacja wypadła okazale. Również zachwycił sportowy poziom imprezy. Wygrali ją uczniowie **Szkoły Sportów Zimowych z Nowego Targu** (3:37,3 min.) przed drużyną szkoły nr 1 z Bielska Podlaskiego i zespołem szkoły nr 2 z Giżycka. Na świetnie przygotowanym lodowisku w Olecku odnotowaliśmy też krajowe rekordy w jeździe tyłem (Cezary Kwietnik z Giżycka 13 sek.) i w slalomie (Artur Szuj z Bielska Podlaskiego – 11 sek.). Sądzimy, że wkrótce dojdzie do rewanżów na kolejnej ogólnopolskiej imprezie. Redakcja dołoży wszelkich starań, aby takowa się odbyła. **(zp)**

Fot. **Z. Przybyłowski**



Cześć!

Widzimy się po raz ostatni w tym roku, więc przyjmijcie od całej naszej paczki najserdeczniejsze życzenia świąteczne!

Obok zamieszczam dziś porcję zimowo-świątecznych żartów rysunkowych, z których wynika, że w dzisiejszych ciężkich czasach niełatwe jest życie bałwana...

Do zobaczenia
Wasz Rzep

P.S. Pamiętajcie o latających i czworonożnych przyjaciołach!









Wrócił ze swego pokoju z niedużą zniszczoną książką. Usiadł obok Idy i wcisnął jej tomik w bezwładną dłoń.

– Dajcie mi spokój – mruknęła Ida, niechętnie otwierając oczy. Popatrzała na okładkę. „Wesołe przygody Robin Hooda”.

– Dlaczego akurat to? – jęknęła.

– Bo są ku temu powody – odparł Krzysztof enigmatycznie. – Szwungszajba, Iduś, Szwungszajba.

– A! Szwungszajba! – połapała się Ida. Popatrzała na braci Lisieckich. Zażerali się śliwkami rozłożeni na stopniach werandy. Otworzyła miękką okładkę.

– Za dawnych czasów, gdy w wesołej Anglii panował dobry król Henryk II, w sherwoodzkich borach, nie opodal miasta Notingham, żył sławny rozbójnik imieniem Robin Hood. – Przeczytała głośno.

– O rozbójniku? – ocknął się nagle starszy Lisiecki i kuksańcem zwrócił uwagę młodszemu, że należy się skupić.

– O rozbójniku – odpowiedział Krzysio pospiesznie. – Bardzo ciekawe przygody.

– Ja lubię filmy o bandytach! – z zapałem oświadczył mały Marek.

– Robin Hood nie był bandytą – sprostował Krzysztof. – Był dzielnym rozbójnikiem, który zawsze stawał w obronie ludzi słabszych i pokrzywdzonych. Ida, czytaj, bardzo cię proszę.

* * *

Do wieczora przeczytali ze sto stron. Kiedy Idę zaczęło drapać w gardle, Krzysztof przejął obowiązki lektora. Potem znów się zmienili, dzięki czemu zasłuchani bracia Lisieccy ani na chwilę nie opuścili sherwoodzkiego boru. Rozdziawieni, nieruchomi, Jarek i Marek nie odrywali wodnistych oczu od ust osoby czytającej i chłonęli każde słóweczko z takim napięciem, jakby dotąd nikt nigdy nie czytał im głośno. Pan Paszkiet, który początkowo gniewnie sarkał i ganił dobór lektury, twierdząc, że jeszcze nie jest zdziecinniałym staruszkiem, któremu trzeba opowiadać bajki – po pewnym czasie znudził się własnymi sprzeciwami i ucichł, a nawet sam się zasłuchał i zadumał. Tylko Basia, machnąwszy ręką, podreptała do swojej roboty i rychło dalekie grzechotanie mytych naczyń obwieściło jej czynną obecność w kuchni.

Czerwone słońce dawno już znikło za dachami kamienic przy Mickiewicza, kiedy pan Paszkiet powiedział, że może na dziś już wystarczy. Ida i Krzysio słyszeć o tym nie chcieli – mogliby czytać jeszcze i jeszcze, na zmianę i aż do rana, bo braciszkowie Lisieccy po raz pierwszy mieli ludzkie twarze i ślad myśli w oczach. Ale pan Paszkiet przypomniał, że Jarek i Marek powinni już iść do swoich łóżek, powiedział, że jest zimno i że jutro przecież też będzie dzień. Lisieccy, dodał, mogą przecież przyjść tu o tej samej porze. Jeśli zachowają się równie grzecznie jak dziś, pan Paszkiet nie będzie miał nic przeciwko nim ani przeciwko Robin Hoodowi.

Lisieccy wymamrotali jakieś „dobranoc”, zakręcili się i nagle zdematerializowali, spiesznie udając się przez krzaki w stronę swojego osiedla. Z głębi domu Basia zawołała, że pan Karolek może przyjść po swoje ziółka i niech już nie przesiaduje w ogrodzie po zachodzie słońca, bo każdy wie, że to szkodzi na reumatyzm. Ida i Krzysztof zostali sami, mocno pachniała maciejka, a lekki wietrzyk przewracał kartki „Robin Hooda”. Światło, zapalone właśnie w gabinecie wylało się żółtym prostokątem na deski werandy i część trawnika i dopiero teraz Ida uświadomiła sobie, że faktycznie jest wieczór.

– To idę – podniosła się, cała odrętwiała.

– Odprowadzę cię.

– Nie trzeba.

– Nie trzeba czy nie chcesz? Bo ja mam ochotę cię odprowadzić.

Poszli przez trawnik ku ulicy.

Było cicho, spokojnie, mało ludzi. Z rzadka przejechał jakiś samochód albo grupka chłopców na rowerach. Ida i Krzysztof powoli szli chodnikiem – coraz wolniej, bo spokój i łagodność niebieskiego zmierzchu zdawały się zapraszać do długiego spaceru.

– Dobrze poszło, co? – zapytał Krzysio. – Wyglądali, jakby po raz pierwszy słuchali głośnego czytania.

– Przecież tak chyba i było. Kto im ma czytać głośno, zastanów się. Mamusia!? I co ma czytać? Książek nie można dostać i pani Lisiecka na pewno nie będzie stawać na głowie, żeby zdobyć dla dzieci coś do czytania. Podejrzewam, że oni w ogóle nie mają książek.

– Ida, wyobraź sobie przez moment, ile jest w naszej dzielnicy dzieci, które tak żyją i będą żyć. A ile jest ich w naszym mieście? A w województwie? A w całej Polsce?

Cdn.

TYTUS, Romek i A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

DŻEK, TĘ MÓWIĄCĄ SZTUKĘ OPYLIMY POZA FIRMĄ, NA WŁASNĄ DOLĘ.
JASNE. NIE BĘDZIEMY DORABIAĆ WŁAŚCICIELA.
ANIMALS
MUSIMY SIĘ RATOWAĆ! W CZASIE POSTOJU ZROBIMY TAK...
WIECZOREM...
NO, JAK SIĘ CZUJECIE DROGIE MAŁPECZKI, PO 5000 DOLCÓW SZTUKA?
CZUJEMY SIĘ DOBRZE!
NA POMOC!
SPOKOJNIE KOCHASIU, ZŁOŚĆ PIĘKNOŚCI SZKODZI.
PADNIJ! RĘCE DO GÓRY! NOGI W DÓŁ!
TRZYMAJ ICH NA MUSZCE, JA OTWORZĘ KRATY.
DOBRA, DAJ GANA!
KIEDY OTWORZĘ, WSZYSCY WYSKAKUJEMY I RZUCAMY SIĘ NA ŁAPACZY.
WTEM!
O RETY! SIĘ MI WYSTRZELIŁO
PIF!
BANG!
RAZ, DWA... SZEŚĆ!
WYSTRZELIŁA CAŁY MAGAZYNEK! NA NICH!
PAM!
NA NICH?
PRASK
ŁUP!

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556
UKAZUJEMY SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13
TELEKS 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBPXV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska
Zam. 7929/G O-32
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Małgorzata Musierowicz

IDA SIERPNIOWA

33

Grubas, który podczas powyższej przemowy patrzał na Idę baranimi oczami, teraz uchwycił się ostatniego słowa:

– Chamstwo? – wrzasnął. – Ja ci pokażę chamstwo! – zamachnął się wielką łapą w jej stronę, lecz w ostatnim ułamku sekundy zmienił zamiar i palnął w ucho Lisieckiego. – Temu tutaj widocznie dawno nikt nie przyłożył!

Znów zamach i uderzenie. Mały Lisiecki aż się zachwiał, a Idzie zrobiło się słabo.

– Krzysiu, ratuj!!! – wrzasnęła przeraźliwie, po czym zwróciła się do grubego: – Pan puści chłopca, i to już!!!

– Odwal się, ruda, mówię ci ostatni raz. A nie, to sama oberwiesz.

– Jak pan go nie puści – wściekła się Ida – to ja panu coś wypuszczę! Powietrze! Z opon! Daj no, chłopcze, tego ufnala – to mówiąc skoczyła przed maskę Poloneza, zaśmiała się jak szatan i zamierzyła błyszczącym ostrzem.

Piorunujący efekt tego gestu zdziwił nawet ją samą.

– Aaaa! Zostaw!!! – wrzasnął grubas, rzucając się na samochód i miłośnie osłaniając go własnym ciałem. – Wariatka, jak babcię kocham!

– A pan minimalista! – obraziła go Ida.

– Zostaw! Rzuć to! Nie, co to za ludzie, co za społeczeństwo, co za młodzież! Niczego nie uszanują! – tak wyrzekając, grubas czule gładził lakier, pieścił reflektory i chuchał na szyby. Wreszcie otworzył drzwiczki wozu i usadowił się za kierownicą.

– Hołota! – rzucił ze wzgardą i zapuścił silnik.

Odjechał zaraz potem, rzucając ostatnie złe spojrzenie.

Ida została na chodniku z hufnalem i Lisieckimi. Podświadomie spodziewała się, że Lisieccy podziekują lub przeproszą, lub też zrobią jedno i drugie. Zwróciła się ku nim – stali jak zwykle, ramię przy ramieniu, a na ich twarzach jak zwykle nie gościł żaden określony wyraz.

Zrobiła krok, a wtedy mały Marek nabrał tchu i triumfalnym głosem, z głębi swych małych trzewi, na całe swe małe, dziecięce gardziołko, zaryczał:

– Rudy kościotrup!!!

Ogłupiała z poczucia krzywdy, stanęła jak wryta. Ujrzała Krzysia, który właśnie wyszedł zza narożnika domu, akurat w samą porę, by być mimowolnym, lecz ewidentnym świadkiem jej upokorzenia.

* * *

Po upływie kwadransa bracia Lisieccy siedzieli na stopniach werandy i rytmicznie pożerali wszystko, co znajdowało się w zasięgu ich rąk – pan Paszkiet, w pozie zdradzającej zdziwienie i brak sympatii, przypatrywał im się ze swego fotela, jak jakimś szczególnym okazom fauny. Basia, stojąc pod okapem werandy, dziergała szydełkiem beżowy szalik, jednocześnie kiwaniem głowy wyrażając swoje ubolewanie; Krzysio zaś leżał na trawie i się opalał.

Co do Idy, wróciła na swe poprzednie miejsce jak gdyby nigdy nic. A przecież coś się w niej poważnie załamało. Świat widziała w tej chwili w ciemnych kolorach i nurtowały ją wątpliwości co do przyrodzonej mu rzekomo harmonii i celowości wszystkiego. Drobny incydent z Lisieckimi wstrząsnął całą istotą panny Borejko i spowodował zachwianie się nikłych początków życiowej filozofii, jakich dopracowała się Ida przez tych piętnaście lat życia.

Siedząc tak w pełnym blasku słońca, oddzielona od wszystkiego powiekami, myślami i milczeniem, popadała w coraz głębszy smutek – jakby z wolna osuwała się w ciemną i zimną głębię studni.

– Co się znów z nią dzieje? – zahuczał z jakiejś wielkiej dali bas pana Paszkieta. – Moja dama do towarzystwa zaniedbuje mnie już całkiem i bez skrupułów. Nie czyta mi, nie bawi, nie rozmawia. Ida, do ciebie mówię!

– O, świetny pomysł! – zerwał się nagle Krzysztof. – Ida nam poczyta i już nawet wiem, co. Czekajcie chwilkę.

Dokończenie na str. 7